

Nasza stara buda!

Rok temu, dokładnie 24 maja, spotkało się szesnaścioro z dwudziestu dwojga żyjących maturzystów klasy „a” z 1953 r. Po pięćdziesięciu latach baliśmy się tego spotkania, czy poznamy się, czy będziemy mieli o czym rozmawiać. Udało się! Dlatego też w tym roku również w maju spotkamy się ponownie.

Artykuł, który napisała nasza koleżanka Róża Wawrzynowicz-Billip („Gazeta Otwocka” nr 8 z 2003 r.), doprowadził do tego, że odnalazł się Kazik Kołakowski, którego tak usilnie poszukiwałem. Tak nieszczęśliwie jednak potoczyło się życie, że 3 grudnia 2003 r. czteroosobowa delegacja pożegnała Kazika na cmentarzu w Łodzi (rak płuc). W roku ubiegłym minęło 50 lat od naszej matury, w tym roku zaś mija 55 lat od daty, kiedy zaczęliśmy naukę w Liceum Ogólnokształcącym Stopnia Licealnego, obecnie Liceum im. K. I. Gałczyńskiego. Ponieważ nasza szkoła była jedną z nielicznych w promieniu kilkudziesięciu kilometrów i kandydatów do szkoły było bardzo wielu – urządzono egzaminy wstępne. Utworzono wówczas dwie klasy 8 (obecnie mówi się 1). Klasa „a”, do której się dostałem, liczyła ponad czterdzieści osób. Wychowawcą naszej klasy i nauczycielem drugiego języka obcego - łaciny był Franciszek Adamski. Pierwszym językiem obowiązkowym we wszystkich szkołach w Polsce był język rosyjski. U nas jego wykładowcą była Natalia Adamska. Do naszej klasy chodził ich syn Wiesiek. Trzeba powiedzieć, że to trudna sytuacja dla rodziców, kiedy dziecko wychowawcy i nauczycieli chodzi do ich klasy. Pan Adamski wywiązywał się z tej sytuacji wyjątkowo dobrze – Wiesiek nie był faworyzowany. Budynek szkolny, przedwojenne kasyno gry, oprócz naszej szkoły mieścił jeszcze Liceum Pedagogiczne. Obecnie mówi się i pisze o tzw. integracji uczniów i nauczycieli ze szkołą, ale w większości przypadków są to niestety tylko slogany. Wówczas kiedy myśmy chodzili do szkoły, o tym się nie pisało i nie mówiło, tylko się działało.

Nasz wychowawca może być wzorowym przykładem na to, jak wcielać w życie słowo „integracja”. Doprowadził on do tego, że najpierw my i nasi rodzi-

ce odnowiliśmy ławki szkolne, następnie wywiórkowaliśmy wiórkami i szkłem, a następnie zapastowaliśmy podłogi w największych pomieszczeniach szkolnych przedwojennej sali balowej na I piętrze i sali tzw. małej gimnastycznej na parterze. Nikt z nas się przeciwko temu nie buntował, bo wiedzieliśmy, że robimy to dla siebie. Klasa, jak wspominałem, liczyła ponad czterdzieści osób, ale w ostatniej czyli 11 klasie zmniejszyła się do 26 osób. Jeszcze w 8 klasie uczono nas religii w szkole. Uczestniczyli w tych lekcjach naprawdę na zasadach dowolności wszyscy uczniowie klasy, a byli wśród nas i żydzi i tzw. niewierzący. Przez parę miesięcy naszą koleżanką w klasie była córka ówczesnego Marszałka Sejmu – Zosia Kowalska, którą codziennie do szkoły przywożono samochodem – ale również ona nie dawała nam odczuć, że jest kimś lepszym czy też ważniejszym.

Wejście codzienne do szkoły było po prawej stronie budynku, gdzie co dzień inny nauczyciel sprawdzał, czy przychodzimy do szkoły w prawidłowych strojach i z tarczami szkolnymi na rękawie. Obowiązywała wówczas zasada, że dziewczęta musiały nosić granatowe fartuszki lub białe bluzki i granatowe spódnice. Chłopcy byli w lepszej sytuacji, gdyż takich wymogów nie było – ubieraliśmy się w to, na co rodziców było stać. Obowiązywały również dla chłopców czapki granatowe z daszkiem, dla dziewcząt - granatowe berety. Kiedyś, gdy pojawiły się na rynku stylony, parę dziewcząt je założyło – musiały je zdjąć i założyć pończochy bawełniane. Był jeszcze jeden obowiązkowy strój - strój ZMP-owski, tj. zielone koszule i czerwone krawaty. Teoretycznie był to tylko strój dla członków ZMP, ale na uroczystości państwowe: 1 Maja i 22 Lipca lepiej było w te stroje się ubrać. Większość uczniów należała do ZMP,

ale byli tacy, którzy tego „zaszczytu” dostąpić nie mogli, czy to z powodu pochodzenia, czy też z powodu „mrocznej” przeszłości rodziców.

Przez pierwsze trzy lata naszej nauki dyrektorem szkoły był Pan Tadeusz Parnowski. Człowiek niewielkiego wzrostu, noszący okulary tzw. druciki. Trzymał on dyscyplinę szkoły żelazną ręką. Wykroczenia przeciwko porządkowi kończyły się bardzo często parogodzinną rozmową w gabinecie dyrektora, po której delikwent wychodził cały mokry i z mocnym, przeważnie realizowanym, postanowieniem poprawy. W przypadkach szczególnych uczniów był zawieszany okresowo w prawach ucznia. Nam w trzecim roku nauki przydarzył się wypadek, że zawieszono na tydzień całą klasę. Przeskrobaliśmy, ale nikt osobiście się nie przyznał, winę wzięliśmy wszyscy na siebie. Oczywiście program szkolny szedł dalej i trzeba było we własnym zakresie nadgonić opóźnienia. Gdy kończyliśmy szkołę, mówiono o naszej klasie, że byliśmy rozrabiakami, ale jednocześnie wyjątkową klasą pod względem nauki. W latach naszej nauki nie istniało nic takiego jak kodeks ucznia – był tylko regulamin szkolny określający, co uczniom wolno. Pomimo braku statutu szanowaliśmy się wzajemnie: uczniowie nauczycieli, a nauczyciele uczniów. W każdej klasie i w całej szkole istniały samorządy uczniowskie. Członkowie samorządów uczestniczyli w posiedzeniach Rady Pedagogicznej.

W szkole istniało współzawodnicstwo, które powodowało, że nasza szkoła zaliczana była do jednej z lepszych w województwie. Na holu na parterze szkoły po każdym okresie wywieszane były tablice z wynikami nauki – średnia stopni. Powodowało to, że każda klasa starała się być lepsza od innych. Jaka to była radość, gdy kiedyś zdarzyło się, że nasza klasa uzyskała lepszą średnią od klasy 11 czyli maturalnej. W klasach też były tablice, na których z imienia i nazwiska wymieniane były średnie ocen poszczególnych uczniów. Mieliśmy w naszej klasie koleżankę, która od początku nauki do końca szkoły zawsze była na pierwszym miejscu, z reguły osiągając średnią „5”. W podziemiach szkoły, w suterenie mieściły się szatnie i przez pewien czas istniał bufet, gdzie można było kupić czarną kawę zbożową i kanapki. Kilkakrotnie w ciągu roku ➡

odbywały się w szkole kiermasze książek, gdzie można było kupować beletrystykę. Różne gazety w tym czasie wydawały różne książki w cenie 2,40 zł. Dzięki temu powiększaliśmy swoje księgozbiory.

W szkole na dość wysokim poziomie był postawiony sport. Osiągaliśmy dobre wyniki nie tylko na terenie Otwocka, ale nawet na terenie województwa. Gdy w 1950 roku zginął w wypadku kolejowym kolega szkolny - bardzo dobry biegacz, powstał Memoriał im. Janka Paszkowskiego. Odbywały się zawody lekkoatletyczne i w grach zespołowych. Wszystkie te zawody odbywały się na boiskach szkolnych, a biegi w alejkach parku. Pomimo że nie dostawało się żadnych nagród, sam fakt zajęcia dobrego miejsca i wyniku stanowiły największą nagrodę.

Każdego 14 października odbywał się w szkole Dzień Nauczyciela. Miał ten dzień szczególną oprawę. Wszystkie funkcje w szkole, poczynając od woźnego kończąc na dyrektorze szkoły, pełnili uczniowie. Dyrektorem był przewodniczący Samorządu Szkolnego. Lekcje prowadzili uczniowie wg normalnego planu zajęć, a nauczyciele danego przedmiotu uczestniczyli w tych

lekcjach siedząc w ławkach. Można było nauczycieli odpytywać i tak się wielokrotnie zdarzało. Bez względu na status naukowy naszych nauczycieli mówiliśmy do nich „profesorze” z szacunkiem do nich i uważaliśmy to za właściwą ich nobilitację w porównaniu do nauczycieli szkół podstawowych. W każdy poniedziałek na dużej sali odbywał się apel wszystkich uczniów. Uczniowie ze starszych klas wygłaszali tzw. prasówkę, opracowaną w oparciu o prasę z poprzedniego tygodnia, a potem po odśpiewaniu „Naprzód młodzieży świata” rozchodziliśmy się do klas. W tej też sali odbywały się wszystkie uroczystości szkolne i państwowe. Większość tych uroczystości była okraszana występami artystycznymi przygotowywanymi przez uczniów, przeważnie pod czujnym okiem Natalii Adamskiej. Rozdanie świadectw maturalnych też odbywało się w dużej sali w obecności całej szkoły. Maturzyści siedzieli w ławkach naszej klasy, o których pisałem poprzednio, że zostały przez nas odnowione. Podobno po naszym odejściu jeszcze przez pewien czas ta tradycja obowiązywała.

Z naszych osiągnięć artystycznych należy wymienić wystawienie „Rewi-

zora” Gogola. Był on wystawiony nie tylko w szkole, ale nawet za pieniądze w sali Teatru im. St. Jaracza w Otwocku. Jeden z najbardziej lubianych naszych nauczycieli - matematyk Leon Błażejewicz prowadził kronikę par szkolnych i swoich przewidywań zakończenia tzw. chodzenia - małżeństwami. W naszym przypadku na 5 przewidywań tylko jedno się sprawdziło.

W chwilach wolnych od nauki bardzo często spotykaliśmy się poza szkołą. Do stałego programu spotkań należały tzw. prywatki w domach, gdzie były ku temu warunki - gdzie przy patefonach i płytach bawiliśmy się tańcząc i co najdziwniejsze do tej zabawy nie potrzebowaliśmy żadnego alkoholu. Wszystkie zasady wpojone w szkole oraz więzi pozaszkolne doprowadziły do tego, że mogło dojść do ubiegłorocznego i obecnego spotkania. Jak dowiedziałem się, obecnie w naszej dawnej szkole prawie nic z naszych dawnych zwyczajów nie przetrwało, nie ma takiego Dnia Nauczyciela, nie ma Memoriału Janka Paszkowskiego i nie ma tablic współzawodnictwa. A szkoda.

Jerzy Howiecki